



BRUNO GRIGORI  
**KRÓTKIE CIĘCIE**



**KRÓTKIE CIĘCIE**



BRUNO GRIGORI

# KRÓTKIE CIĘCIE

Tytuł: *Krótkie cięcie*

Autor: Bruno Grigori

Copyright © Bruno Grigori, 2021

Copyright © Wydawnictwo IX. 2021

Copyright for the cover art ©

by Przemysław Gul & Wydawnictwo IX. Kraków 2021

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Redakcja i korekta: Krzysztof Biliński

Skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustrację na okładkę przygotował Przemysław Gul –  
jest to grafika pochodząca z gry planszowej w uniwersum  
*Złego człowieka* przygotowywanej przez Hexy Studio.



Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana  
bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na  
potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2021

Wydanie I

ISBN 978-83-963610-0-4

*Jest taki dzień, bardzo ciepły, choć grudniowy,  
Dzień, zwykły dzień, w którym gasną wszelkie spory.*  
Krzysztof Dzikowski, *Jest taki dzień*

**N**a Hochbergu nie rosły jodły. Owszem, dało się znaleźć inne drzewa iglaste – świerki, sporo sosen, a nawet nieco cisów – ale jodeł już nie było. Nie było od czasu Ostatniego Sztormu, gdy morskie bałwany wyskakiwały na kilkanaście metrów ponad brzeg wyspy, ludzie i zwierzęta uciekali w popłochu na najwyższe skały, a jedyny dźwięk, jaki był w stanie przebić się przez ryk morza i grzmoty piorunów, to był płacz dzieci.

Morze Mgieł, z którego wyłaniały się Zamieszkane Wyspy, nie pozwalało się ignorować: przyciągało wzrok i kazało go odwracać. Przyciągało, bo było przepiękne, jego fale skrzyły się srebrzyście, a pod powierzchnią zdawały się pełgać, czmychać, gonić ze sobą wielokolorowe tęczę. Kazało odwracać, bo było absolutnie zabójcze dla życia i dla wszystkiego, co się w nie zanurzyło. Skrajne skały wysp pokryte bywały na wpół przeżartymi wrakami sterowców, prowadzonych

niegdyś przez nieuważnych kapitanów i jakby skamieniałymi szkieletami zwierząt, które podeszły za blisko mglistych fal. Był to przerażający widok, ale jeszcze bardziej przerażająca była myśl, że ktoś mógłby tam zejść i chcieć posprzątać.

Jednak przeważnie Morze Mgieł było spokojne, falowało hen w dole – poetom dawało natchnienie, a wszystkim innym poczucie, że żyją na najpiękniejszym ze światów. Na Hochbergu wylało tylko raz – podczas Ostatniego Sztormu. Spiętrzona fala runęła na Jodłowy Las, w niebo buchnął fioletowy ogień i snopy iskier gęste niczym chmury; a gdy mgła opadła, oczom ukazał się krajobraz dymiących kikutów drzew i ziemi wyżartej nierzadko do litej skały. Od tamtej pory Jodłowy Las nazywał się Martwym Lasem i nic już nigdy w nim nie wyrosło.

A przecież Święta bez choinki z jodły to nie to samo.

Tak naprawdę nie wiadomo było, czy Ostatni Sztorm był ostatnim, ale wszyscy woleli go tak nazywać – na wszelki wypadek. Miał miejsce 24 lata temu, późną jesienią, na kilka dni przed tym, gdy tata poznał mamę. Niemal dokładnie dwa lata przed urodzeniem się Roberta i cztery, zanim na świecie ponad Morzem Mgieł pojawiła się jego młodsza siostra, Anna.

I od 24 lat po jodłę na Święta trzeba było polecieć na jedną z sąsiednich wysp.

\* \* \*

Robert siedział na najniższym pokładzie pasażerskim rejsowego sterowca łączącego wyspy Echo i Fernufer z Hochbergiem. Łokciem opierał się o rant bulaju,



przez który wyglądał na umykające w dole fale, przyjaźnie rozbłyskujące w ciepłym wieczornym słońcu, niemal zapraszające do kąpeli. Wzdrygnął się na samą myśl o tym i drugą ręką mocniej objął owiniętą w brezent jodełkę. Jej świeży zapach przywrócił mu poczucie bezpieczeństwa i przeniósł myślami do domu.

Pomyślał, że rodzice powinni być zadowoleni z drzewka, które wybrał – było niewysokie choć rozłożyste i tak pełne igieł, aż wydawało się puszyste. Było może trochę droższe, niż ojciec zakładał, ale ten sam ojciec lubił mówić, że na pewnych rzeczach oszczędzać nie przystoi. Święta do tych rzeczy niewątpliwie należały. Wprawnie wykonane, krótkie cięcie u nasady pnia zwiastowało jodełce długą świeżość, jeśli tylko będą się nią dobrze opiekować. A będą.

Szczególnie mama, która opiekowanie się wyniosła do rangi sztuki. Chociaż bywała w tym trochę dziwna, a przynajmniej nieco odmienna od mam koleżanek i kolegów, co zaczął dostrzegać, gdy tylko poszedł do szkoły. Inne mamy nie mierzyły, ani nie ważyły codziennie swoich dzieci, dokładnie wręcz obsesyjnie. Nie przyrządzały samodzielnie lekarstw i nie kazały ich łykać każdego rana, przez okrągły rok, w chorobie i zdrowiu. No, ale może na tym właśnie polegała naprawdę dobra opieka.

Czasem Robert zastanawiał się, jak tata żył, zanim poznał mamę i... nie umiał sobie tego wyobrazić. Z jednej strony ojciec był uznanym fachowcem w pierwszej na wyspach Fabryce Silników Parowych i ludzie z szacunkiem zwykli nazywać go: Mechanik Wirboński; z drugiej jego kompetencje, zaradność i wykształcenie zdawały się nie być w stanie przekroczyć progu domu.

Jakby jakieś niewidzialne pole siłowe obdzierało go na wejściu z wszelkich zdolności i wiedzy, z umiejętnością znalezienia w szafce czystego kubka na czele. Od tego była mama. I od niemal wszystkiego innego.

Ponadto Lilianę powszechnie uważano za najpiękniejszą kobietę na wyspie i równie powszechnie – oraz nie mniej zawistnie – zastanawiano się, jak to możliwe, że została żoną właśnie Wirbońskiego, skoro mogła mieć dosłownie każdego, łącznie z najbogatszymi bądź najprzystojniejszymi paniczami i dziedzicami na Hochbergu. Łącznie, pff – przede wszystkim. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że to Wirboński ją znalazł, gdy błąkała się bez celu i pamięci po obrzeżach Martwego Lasu w trakcie Ostatniego Sztormu, że to on ją uratował i to on się nią opiekował, aż wróciła do zdrowia. No ale.

Podobne myśli pochłaniały właśnie wyobraźnię Żabika i Mefka, drobnych złodziejasków, a kiedy zaszła okoliczność to i rzezimieszków, którzy okupowali tylną ławkę przy przeciwległej burcie i zdawali się nie spuszczać Roberta z oczu.

— Ty, Mefek, ile razy, myślisz, stary Wirboński ją ma?

— Co ma? — Zapytany przetarł brudną dłonią twarz, jakby zdzierał z niej zasłonę. Zresztą trochę tak było, zważywszy pozostawione smugi. — Lilianę, hehe? No, ma.

— No, ale ile tak razy, myślisz? Dwa razy na miesiąc? Dwa razy na tydzień? — Żabik zauważalnie rozmarzył się. — Dwa razy dziennie?

— Co ty, kurwa, z tym dwa?

Żabik oblizał spierzchnięte wargi i bardziej wytrzeszczył oczy.

— Trzy...?

— Zamknij się. — Mefek wsparł polecenie solidnym kuksańcem pod żebra. — Siedź cicho i pomyśl trochę. Bo znowu ja o wszystkim myślę. Może to jest ten dzień.

— Na Wirbońskich? — Żabik zdusił śmiech. — No co ty... oni są nie do ruszenia. Sam szef to powtarza. Raz, że za wiele to oni nie mają. Dwa, że jak Mechanikowi włos z głowy spadnie, to szeryf rzuci za nami całą swoją watahę. Jeszcze po posiłki z Fernuferu gotów posłać. Ja w to nie wchodzę.

— A teraz, kurwa, posłuchaj uważnie — chrapliwy głos Mefka przeszedł w trzeszczący szept. — Nic się nam nie stanie, jak to rozegramy sprytnie strategicznie. Szef jeszcze na to nie wpadł, ale my mu pomożemy wpaść. Zaraz, jak się spotkamy z Albercikiem na przystani.

— Strategicznie?

— Sprytnie strategicznie: wyrzniemy wszystkich. Ale najpierw wszystkie panienki przerzniemy. Sam se Lilianę obrócisz te swoje dwa razy.

— Chyba dziesięć — rozmarzył się Żabik, ale zaraz otrzeźwiał. — Tej strategii nie dostrzegłem.

— Ruszże łbem. Na kogo szeryf się rzuci, jak znajdzie Wirbońskie wydupczone na dziesiątą stronę? Na Albercika-Brzytewkę, który się własnego kutasa brzydzi dotknąć, czy na Iwana, który większą połowę każdego roku siedzi za jakiś gwałt? He?

Na twarz Żabika z wolna zaczął wypełzać paskudny uśmiech. Trudno stwierdzić, czy na myśl o tym, że banda gotowa jest pozbyć się jedynej konkurencji na wyspie, czy na myśl o sprytniej strategii. Czy na myśl o dwa. Czy o dziesięć. Być może Żabik już sam myślał o wszystkim.

\* \* \*

Liliana krzyknęła iomal nie upuściła wielkiego gara z zupą na podłogę. Odłożyła z rezygnacją naczynie na kuchenkę. Po jej ubraniu ściekał krwistoczerwony świąteczny barszcz, a na twarzy gościł wyraz irytacji przemieszanej z rozbawieniem.

— Poparzyłaś się! — krzyknął mąż, zatrzasnął piekarnik, do którego zaglądał i rzucił się żonie na ratunek, nie za bardzo wiedząc, od czego zacząć.

— Nic mi nie jest — uspokoiła go. — Chłodny jeszcze jest. Coś źle sobie chwyciłam.

Złapał ją w objęcia z westchnieniem ulgi, jakby Liliana nie zimną zupą się oblała, ale wróciła do żywych po miesiącu śpiączki.

— Cóż ty wyrabiasz...!? — zaśmiała się, ale odwzajemniła uścisk męża. — Cały się uświński.

— Ukochałem. Cały się ukochałem.

Przytuliła go mocniej.

— Też cię kocham. Ale daj mi się iść przebrać. Sam zresztą się przebierz, mój ty rycerzu.

Do kuchni weszła wolnym krokiem dziewczyna przyprószona mąką po czubek ciemnej kędzierzawej głowy. Stateczność jej ruchów przyjemnie kontrastowała z dramatyzmem zaistniałej sytuacji. W dłoniach zamknęła zgrabnie ulepiony pieróg.

— Co wy wyrabiacie? To jest barszcz, prawda? — spytała wskazując ruchem brwi wielką czerwoną plamę na brzuchu matki.

— Tak, Aniu. To jest barszcz. Ale nie cały, na szczęście.

— To dobrze — skonstatowała. — A Robert kiedy ma wrócić? Obiecywaliście, że nie będę sama tych wszystkich pierogów lepić. Jak zwykle.

Liliana oswobodziła się ostatecznie z objęć męża.

— Powinien być do godziny, może dwóch. Wziął do miasta moją bryczkę, to powinien szybko przyjechać. Zresztą pewnie już wylądował. A ty załóż sobie chustkę na włosy.

Anna odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do pokoju.

— Za dwie godziny to sobie może... — Dało się jeszcze za nią usłyszeć.

\* \* \*

Robert poprawił choinkę na ramieniu i spoglądał cierpliwie, jak nazbyt młody i nadto ambitny chłopiec stajenny sam jeden podprowadza mu bryczkę, ciągnąc konie za uzdy. Nie śmiał się wtrącać, ani tym bardziej pomagać, bo widział wyraźnie, że to jest kwestia honoru.

Żeby nie okazać po sobie zniecierpliwienia, odwrócił się w stronę pomostów cumujących i z udawanym zainteresowaniem zajął się oglądaniem rozładunku sterowca, którym przyleciał: jednobalonowy, towarowo-pasażerski, zwyczajny – liczna ich flota stanowiła trzon komunikacji Zamieszkaných Wysp, a on sam wsiadał na ich pokład przynajmniej raz w tygodniu. Bez trudu więc jego uwagę przejął inny okręt, który właśnie podchodził do lądowania po przeciwległej stronie portu – kilkunastometrowe łopaty czwórki śmigieł, napędzanych zapewne siłą mięśni kilkuset osobowej załogi, tłukły powietrze rytmicznym dum-dum-dum,

skutecznie wytracając prędkość gigantycznej maszyny, utrzymywanej w powietrzu przez trójkę opancerzonych balonów ustawionych w agresywny szpic, z burtami najeżonymi długimi działami. Ciężkie, mosiężne godło, zwieszające się na łańcuchach spod kadłuba, lśniło ciepło w wieczornym słońcu i nadawało kilka czytelnych wiadomości: była to jednostka klasy Assault, należąca do marynarki wojennej Północnych Rubieży, a udźwigny i zapas mocy prawdopodobnie pozwoliłyby jej unieść w powietrze drugą taką maszynę.

Patrząc jak na spotkanie okrętu wyrusza ze dwudziestu robotników obsługi naziemnej, zaczął się zastanawiać, jak też w niedługim czasie będą wyglądać sterowce, gdy ich napęd stanowią już będą silniki parowe, jak to – zapewne słusznie – ojciec przewidywał. Niesamowite było tempo rozwoju technologicznego w tym czasie.

— Pana powóz! — zakrzyknął chłopak, gdy w końcu udało mu się zrównać z klientem.

Radosne pianie, charakterystyczne dla rozpoczynającej się mutacji głosu, skutecznie wyrwało Roberta z rozmyślań o przyszłości.

— Bardzo dziękuję — odparł i wręczył nastolatkowi sowity napiwek.

Przez chwilę z przyjemnością patrzył, jak rozbłyskują mu gwiazdy w oczach, po czym wrzucił choinkę na tył bryczki, wskoczył sprawnie na kozła, cmoknął na konie i odjechał.

Całą tę scenę oglądali z bezpiecznej odległości Albercik-Brzytewka i czwórka jego zbirów, wśród nich Żabik i Mefek. Sam Albercik był facetem w średnim, bliżej nieokreślonym wieku, krępy, niewysoki,

o twarzy tak pooranej bliznami, że jego ksywka – Brzytewka – na pierwszy rzut oka nabierała kilku, jeśli nie kilkudziesięciu nowych znaczeń.

— Wszystkie przerznąć, powiadasz? — zwrócił się do Mefka i splunął. — I nikt nie zauważy, że również ich do cna ograbiliśmy?

— Taki byłby plan — odparł zapytany.

Albercik wyjął z kieszeni długą brzytwę, otworzył ją z namaszczeniem i bez pośpiechu zaczął przycinać paznokcie. Trwało to dłuższą chwilę, w trakcie której raz pokiwał głową, innym razem przybrał wątpiący wyraz. Wyraźnie myślał. Nikt mu nie śmiał przerwać.

— No dobra — zdecydował. Trzasnęła zamykana brzytwa. — To zrobimy tak. Jedźcie we czwórkę przez las, na skróty. Dopadniecie młodego po drodze, to w domu zostanie wam już tylko stary Wirboński i dwie baby. Dacie sobie radę, zgaduję. Taki jest mój plan. Do roboty!

Czwórka zbirów Albercika-Brzytewki rozpromieniła się, jakby znaleźli pod choinką najpiękniejsze prezenty. I ruszyli w stronę portowej stajni po swoje konie.

\* \* \*

Liliana uśmiechała się. Siedząc przy kuchennym stole, popijając z filiżanki gorącą, pachnącą ziołami herbatę, spoglądała przez uchylone drzwi do pokoju, jak jej mąż pomaga ich córce lepić pierogi. Stół kuchenny był na to za mały, dlatego kilka razy w roku, a obowiązkowo na Święta, przyległy do kuchni pokój zamieniał się w pierogową manufakturę. Zresztą sam dom, w którym mieszkali, do dużych nie należał i choć każdy miał swój pokój, na nadmiar miejsca nie narzekali. Ale to

tutaj, w przytulnym domku skrytym pośród lasu, z niewielkim obejściem wychodzącym na bitą drogę, która łączyła jedyne dwa miasta na wyspie Hochberg, tutaj Liliana odnalazła spokój, jakiego nigdy nie zaznała i coś w rodzaju szczęścia.

Dobrze pamiętała dzień, w którym znalazła się na skraju dymiącego lasu, pośród okrutnego sztormu, w tym dziwnym świecie porozrzucanym na wyspach wznoszących się ponad powierzchnię pięknego i zabójczego Morza Mgieł. Pamiętała pierwszego człowieka, jakiego zobaczyła, który rzucił się jej na ratunek z narażeniem własnego życia, w obawie by następna fala żrącej mgły nie zabrała jej do kolejnego świata. Powiedziała mu, że nazywa się Liliana i że nie pamięta, skąd się tu wzięła, ani w ogóle skąd pochodzi. A niedługo później za niego wyszła.

Ale pamiętała doskonale. Wszystko. I równie dobrze wiedziała, że to już nie ma żadnego znaczenia. Jedyne, co było ważne, co pozostało w jej długim życiu ważne, to rodzina: jej mąż, który kochał ją całym swoim dobrym sercem i dwójka ich wspaniałych dzieci. Dzieci, które urodziła wbrew wszystkiemu, w co wierzyła i co znała, i które udało się jej – nadludzkim wysiłkiem i wiedzą – utrzymać w zdrowiu i błogiej nieświadomości tego, kim są.

Z zadumy wyrwało ją ukłucie lęku. Robert. Głęboko w trzewiach, w skroniach i w nagłym chłódzie rąk poczuła, że jej synowi grozi coś strasznego. Jeszcze nie miała pewności co, ale wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Poderwała się do szuflady z przyprawami i za chwilę wsunęła do pokoju – uśmiechnięta i zrelaksowana – z pustym słoiczkiem w ręce.



— Jałowiec się skończył — oznajmiła.

— Pieczeń bez jałowca...!? — jęknęli chórem jej mąż i córka.

— Okiełznajcie panikę. Skoczę do lasu nazbierać trochę owoców. Akurat pora po temu nie mogłaby być lepsza: przedwczoraj był pierwszy przymrozek. Będą pycha.

— No, dobrze... — Mąż skinął głową. — Tylko ubierz się ciepło, kochanie.

— Oczywiście. To ja lecę, a wy lepcie te pierogi trochę szybciej może, co? Za dużo gadacie, za mało robicie. Ale i tak was kocham. Pa!

— Ta mama zawsze musi coś przymarudzić — stęknął ojciec i zerknął karcąco w stronę drzwi.

Liliany już nie było.

\* \* \*

Słońce niemal zaszło i w lesie zapanował mrok. W lesie zawsze szybciej robi się ciemno. Dlatego Robert nie szarżował, spokojnie prowadził parę koni, obserwował mijane drzewa i uważnie śledził bieg drogi, mimo że znał ją na pamięć. Trochę żałował, że w tym roku śnieg jeszcze nie spadł i nie było wiadomo, czy w ogóle się pojawi, a przecież Święta bez śniegu to tak jak bez jodełki, a może jeszcze smutniej. Wciągnął głęboko w płuca chłodne powietrze i poczuł w nim wyraźny zapach zimy. *Jest nadzieja*, pomyślał.

Wtem jego skroń przeszył ostry ból i nim zdolał osłonić głowę przed ewentualnym drugim uderzeniem, stracił przytomność. Bezwładne ciało spadło z kozła na pobocze drogi. Zdezorientowane konie, poczuwszy

zluzowane lejce, zaczęły prychać niespokojnie, ale zatrzymały się. Wszystko odbyło się zbyt szybko, zbyt niespodziewanie i zbyt cicho, by je spłoszyć. Z gąszczu lasu wychynął Mefek i złapał konie za uzdy.

— Jest dobrze — rzucił w stronę drzew, po czym odciągnął zaprzęg na bok i przytroczył zwierzęta do jednego z pni.

Na drogę wyszedł z cienia Żabik, bawiąc się skórzaną procą na długich rzemieniach. Za nim wychynęła pozostała dwójka zbirów. Najroślejszy z nich obdarzył kumpli wyszczerbionym uśmiechem, otarł usta rękawem i z wyraźnym zainteresowaniem kucnął obok nieprzytomnego Roberta. W jego wielkiej dłoni błysnęło ostrze.

— Mały, kurwa! Co ty chcesz zrobić!? — Powstrzymał go Mefek. — Żadnych brzytw, żadnych noży, żadnego cięcia gardeł. Iwan tak nie robi.

Brodata twarz zbira nazwanego Małym przybrała wyraz podobny do skruchy. Niechętnie schował nóż do pochwy i podrapał się po czole w zadumie.

— Mam przy koniu młot — odezwał się po chwili — którym kradniemy te nowe tory, co to je fabryka kładzie. Mogę się po niego przejść. Jak się nada.

— Nada się. Idź.

Mały skinął głową i ruszył pomiędzy drzewa.

Tymczasem uwagę pozostałej trójki przejęło bez reszty wcielenie absolutnego piękna. Na drodze przed nimi pojawiła się zdyszana Liliana. Spocona, ubrana jedynie w futrzany kubrak narzucony na długą suknię, rozdartą od łydki do miejsca, w którym zatrzymał się ich łakomy wzrok. Niemal chórem zapiali z zachwytem i z wybuchowo narastającego pożądania, bezgranicznie pewni, że oto nastały najcudowniejsze Świeta w ich życiu.

\* \* \*

— Tato, przestań ciągle zaglądać do piekarnika — skarciła ojca Anna. — Przeziębisz pieczeń i tyle z tego będzie. A mama ci głowę urwie.

— Pachnie wspaniale — odparł niewzruszenie, po czym zamknął piekarnik i uniósł do ust łyżeczkę podebranego z pieczeni sosu. Podmuchał i skosztował. — Jałowiec jałowcem, ale nie zaszkodzi trochę kminku dodać.

Anna wywróciła oczami, jakby o dodawaniu kminku słyszała kilka razy dziennie – co zresztą było prawie prawdą, bo ojciec bardzo kminek lubił – i zająrzała do szuflady z przyprawami.

— Hmm — powiedziała.

— Co: hmm?

— Tu jest pełno rozsypanego jałowca. Musiał się mamie wysypać i nie zauważyła, czy coś. Tylko jak mogła tak nie zauważyć...?

Ojciec podszedł bliżej i również się przyjrzał.

— Nieważne — zawyrokował. — Nie zaszkodzi, jak mama przyniesie go trochę więcej. To prawda, że teraz jest najlepsza pora, żeby go nazbierać.

\* \* \*

Mały stanął okrakiem ponad wciąż nieprzytomnym Robertem, splunął w dłonie i ujął oburącz masywny młot, który przed chwilą przyniósł. Pozostali otoczyli Lilianę i skutecznie odcięli jej drogę ucieczki. Ona nadal dyszała, schyłona, wsparta dłońmi o kolana.

Spomiędzy napastników patrzyła na draba górującego nad jej synem, którego od makabrycznej śmierci dzieliło może kilkanaście sekund. I nie zamierzała uciekać. Żabik wysunął się naprzód i bez dalszej zwłoki sięgnął ręką do jej dekoltu.

— Na! — zakrzyknął i cmoknął z satysfakcją; jakby na dowód, że marzenia się spełniają. — To będzie pierwszy raz!

Złapał za wszystkie warstwy ubrania Liliany naraz i szarpnął.

A wtedy odpadła mu głowa.

Cięcie było krótkie, całkowicie bezkrwawe, czyste, jakby ciało Żabika zamieniło się w figurę z wosku. Głowa upadła na drogę z głuchym tąpnięciem, a do jego kumpli nadal nie dotarło, co się właśnie stało. Skąd się cięcie pojawiło, a już na pewno nie, że miał z tym cokolwiek wspólnego niewielki, połyskujący metalicznie przedmiot w kształcie klamki, który Liliana trzymała w ręce. Ale oddechy i serca zamarły. Przedmiot mignął jeszcze trzy razy, nie wydawszy z siebie najcichszego dźwięku. Dopiero trzask gałęzi łamanych przez wpadające w nie, pozbawione życia ciała siepaczy Albercika, przywrócił tętno leśnej drodze. Ich głowy potoczyły się w różnych kierunkach, wszystkie oddzielone tymi samymi, krótkimi cięciami, bez kropli krwi.

Liliana wyprostowała się, schowała zabójczy przedmiot pod kubrak i podeszła do syna. Szybkie oględziny uspokoiły ją – nic mu się nie stało. Co więcej i co równie ważne, nie mógł mieć pojęcia, że cokolwiek mogło mu się stać. Rana na skroni była poważna, ale kości czaszki całe. Kopnięciem strąciła z syna martwe ciało niedoszłego mordercy, przysiadła na nim i rozplakała się.

Trwało chwilę, nim opanowała targające nią spazmy, ale potem spokój wrócił i znów zaczęła słyszeć wiatr szumiący w koronach drzew. Chłodne zimowe powietrze skutecznie przyspieszało powroty do rzeczywistości. Przeniosła wzrok na swoją bryczkę, na konie przywiązane do drzewa i na osiem kłopotliwych części ciała zbirów Albericka-Brzytewki. Plan, jak się ich pozbyć, pojawił się sam. Kluczowym jego elementem był cichy skowyt, który rozbrzmiał po lesie, a także zdawał się z wolna przybliżać.

I zaczął padać śnieg.

\* \* \*

— Tato, zlituj się już... — jęknął Robert po raz kolejny i miał ten jęk niewiele wspólnego z opatrunkiem na głowie, który mu ojciec zmieniał. — Mówię ci, że nie wiem, skąd się ta gałąź wzięła. Musiała się zwiesić nad drogą z jakiegoś drzewa. No, nie zauważyłem jej. Zdarza się.

— Nie zdarzyłoby się, gdybyś nie jeździł jak wariat! Tysiąc razy ci powtarzałem, że leśna droga to nie jest tor jeżdziecki. Ciesz się, że cię matka znalazła, bo byś tam zamarzł w środku lasu, razem z tą swoją durną nastoletnią pałą.

— Tato! Mam dwadzieścia dwa lata, na litość.

— Niełatwo to dostrzec. Lili powiedz mu coś, bo mnie szlag trafi...!

Robert siedział na taborecie przystawionym do stołu w kuchni, na którym stała miedniczka z kwaśną wodą i skąpanymi w niej okładami, a wokół uwijał się ojciec, który zdawał się mieć trudności z podjęciem

decyzji, czy syna opatrywać, czy dodatkowo mu przyłożyć. Anna stała z założonymi rękami, oparta o ścianę, najwyraźniej gotowa dorzucić swój komentarz, gdy tylko dorwie się do głosu. Liliana usiadła na sąsiednim krześle.

— Opuść mu, kochanie. Już mu nagadałam po drodze.

— Opuść...! — zachnął się. — Pomyśl, co się mogło stać, jakbyś nie poszła do lasu po ten cholerny jałowiec, którego zresztą jest pełna szuflada! Nie wiem, jak mogłaś nie zauważyć! I jeszcze święteczną sukienkę całą sobie potargałaś przez tego nicponia!

— Kochanie... zdecyduj się, na co się denerwujesz. — Wsparła sugestię sięgając dłonią przedramienia męża. — I denerwuj się po kolei. Nie wszystko na raz.

Odwzajemnił jej uśmiech, rozbrojony. I sam usiadł na wolnym krześle. Robert w mig wykorzystał przerwę w ostrzale.

— Przynajmniej jodełkę naprawdę piękną udało mi się znaleźć.

Ojciec sapnął oraz odrzucił do miski trzymany w ręce opatrunek.

— Aniu, bądź tak dobra i przynies to drzewko z bryczki. Może się nam humory poprawią, jak je sobie postawimy i obejrzymy...

— Ja...!? — Anna rozplotła ręce, żeby wykonać nimi gest pełen zniecierpliwienia i pretensji. — A potem też ja będę je ubierać, pewnie?

— Córuniu, kochanie. — Liliana złapała rozbiegany wzrok Anny w swoje ciepłe spojrzenie. — Wszyscy będziemy ubierać choinkę razem. Tak jak zawsze.

— Aha, aha... Obiecujesz?

— Oczywiście, że tak. Co najwyżej z przerwą na zamieszanie barszczu.

— No, dobrze. To idę po tę jodełkę, zanim ją cała śnieg przykryje. Jak taka ładna.

Liliana skinęła głową i opadła na oparcie krzesła, z ledwo dostrzegalną ulgą. A potem kolejno przeniosła spojrzenie z córki na męża i wreszcie na swojego syna. Na swoją rodzinę.

*Warszawa, listopad 2021*

ISBN 978-83-963610-0-4



9 788396 361004